

# Pani Maria

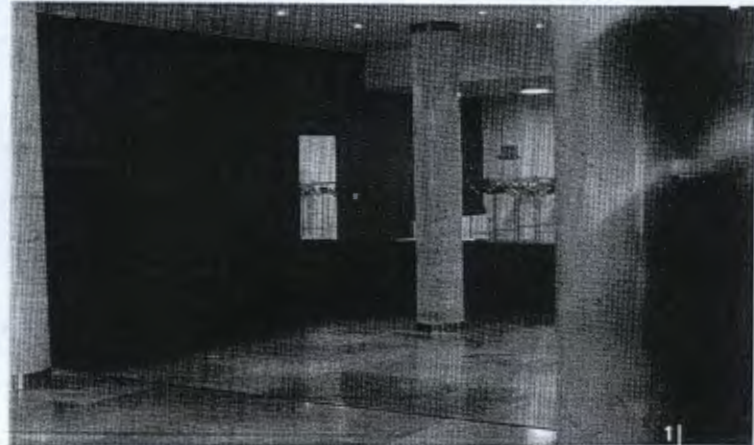
## Krystyna Janda

Nie ma mnie w Polsce. Z Warszawy dochodzą wieści o pogłębiającym się kryzysie w teatrach stołecznych. Kryzysie ideowym, frekwencyjnym, organizacyjnym, repertuarowym. Roszady, odejścia artystów, poszukiwania dyrektorów. Kandydaci od razu przynoszą ze sobą własne wizje teatru, jak twierdzą zespoły artystyczne. Już samo nazwisko określa, jaki teatr będzie przez nich prowadzony. Pan X – teatr zbyt lekki, pani Y – teatr zbyt trudny, pan Z – teatr zbyt dziwny, pan Ż – teatr autorski. Zespoły zachodzą w głowę, kto dla nich byłby najlepszy albo najbezpieczniejszy, co jak wiadomo, się nie pokrywa i bardzo różni, jeśli chodzi o ewentualne działania i wybory dyrektorskie. Najczęściej z X, Y, Z, Żetem zespołom nie po drodze, w każdym razie trudno o jedynomyślność. Więc co robić? Co będzie dalej?

Ja, „szefowa teatru na wakacjach”, dostaję codzienne raporty po przedstawieniach, raporty, które wymusiłam na swoich pracownikach: ilu widzów, czy wszystko było dobrze, czy publiczność zadowolona, jak idą nowe próby, jak zespół na wyjeździe itd., itp. ... Uczę się każdego dnia prowadzenia teatru i każdy dzień przynosi gorzką lub radosną naukę. Sama jestem z teatru najpierw Janusza Warmińskiego, bo moje pierwsze dwanaście lat w zespole to Teatr Ateneum i dyrektor Warmiński, potem szesnaście lat i bardziej świadomie byłam członkinią zespołu Teatru Powszechnego, czyli teatru Zygmunta Hübnera, który długo był Jego teatrem, także po Jego śmierci.

Dwóch wspaniałych dyrektorów, dwie różne metody prowadzenia teatru. Teatru dla wszystkich, teatru powszechnego, jak mówiła nazwa, teatru środka, teatru artystycznego dla szerokiej publiczności, jeśli szeroką można nazwać widownię, która ma wypełnić salę z czterystoma miejscami trzysta razy w roku. Repertuar rozmaity – dużo komedii, aktorskich spektakli. Do fars obaj dyrektorzy się nie zniżali, uważali, że inne teatry warszawskie grają taki i tylko taki repertuar, a ich to nie interesuje. Zresztą to łatwy chleb, pozornie, bo trzeba się przypodobać publiczności, także jeśli chodzi o poziom i styl, a to i dla Warmińskiego, i dla Hübnera było nie do przełknięcia. A więc: nowości europejskie, skandynawskie, polskie – jeśli się pojawiały, amerykański dramat lat czterdziestych i pięćdziesiątych, klasyka, Szekspir w nowych tłumaczeniach, czasem antyk (szczególnie u Hübnera), Fredro, Czechow, jak się zdarzy, Turgieniew, trochę polskiego repertuaru z dwudziestolecia międzywojennego.

Ale przede wszystkim teksty i role krojone na zespół aktorski, który był w dyspozycji. Repertuar planowany według apetytów gwiazd teatru, także gwiazd reżyserskich, i planów mądrego dyrektora, rozumiejącego, że apetyty gwiazd przekładają się na satysfakcjonujące rezultaty sceniczne. Dużo debiutów aktorskich,

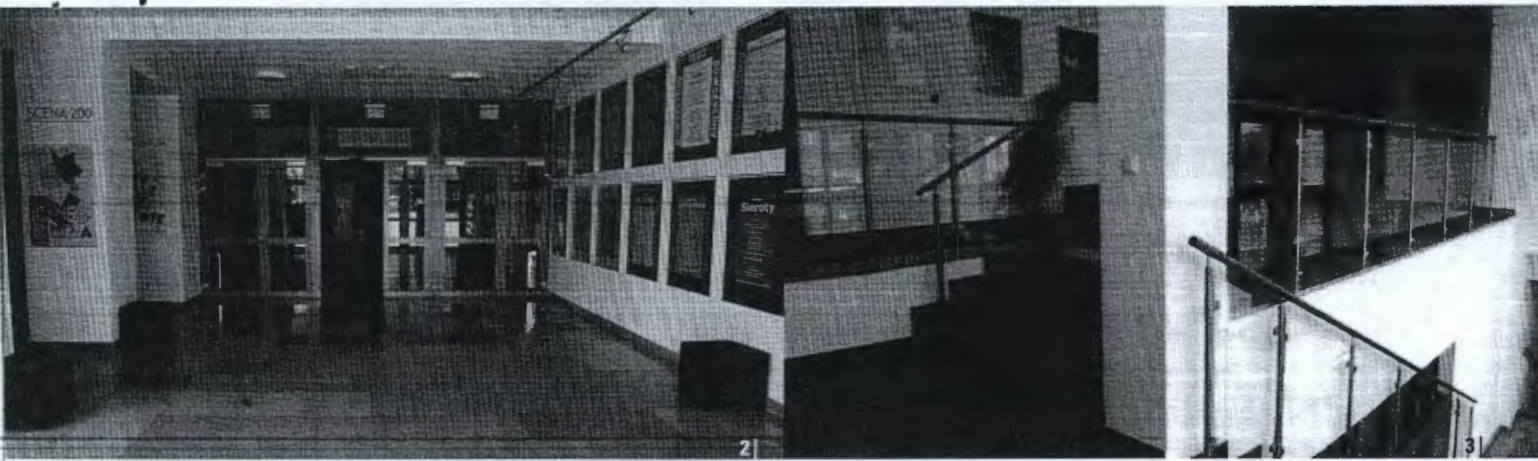


co roku ktoś nowy. Prawie wcale debiutów reżyserskich, tylko wyjątkowo – po bardziej niż obiecującej asystenturze, a najczęściej dwóch czy trzech asystenturach i wnikliwej obserwacji. A i tak często dyrektorzy artystyczni przejmowali reżyserię, żeby ratować rezultat końcowy i nie stracić pieniędzy przeznaczonych na tę produkcję oraz... nie stracić widowni. I Hübner, i Warmiński, za mojej pamięci, wielokrotnie kończyli czy przejmowali próby i doprowadzali do premier, zastępując grzecznie wyproszone reżyserów.

Dziś źle rokujące premiery się odwołuje, nie dopuszcza się do nich, bez żadnych konsekwencji. A wtedy wiecznie powtarzano zdanie: „widownię zdobyć trudno, stracić najłatwiej”, a honorem dyrektora było utrzymywanie się w trzydziestu ośmiu procentach z kasy biletowej.

Ten procent pamiętam jako mityczne osiągnięcie teatrów państwowych. Na osiągnięcia finansowe Syreny, Teatru Kwadrat czy Komedii Warmiński i Hübner machali ręką, uśmiechając się i nie robiąc komentarzy dotyczących repertuaru tych scen. Obaj dyrektorami byli bardzo, bardzo długo, w różnych czasach. W czasach z cenzurą – i bez niej, i z wielkimi gwiazdami w zespole – i bez gwiazd, i z reżyserami i tekstami znaczącymi – i bez. Teraz nie wiem, w ilu procentach teatry państwowe utrzymują się z biletów. Ja prowadzę, co prawda tylko od strony artystycznej, ale jednak, sceny, których budżet w dziewięćdziesięciu procentach z konieczności pochodzi ze sprzedaży biletów. Walczę o poziom z zaciśniętymi zębami, chyba jednak niepotrzebnie, bo przyszłości w związku z tym nie widzę różowo. Ledwo wiążemy koniec z końcem, mimo sukcesów i oszałamiającej frekwencji. Jesteśmy za ambitni repertuarowo jak na teatr tak dużo i drogo produkujący bez stałych dotacji. Ale to na marginesie.

Wszystko się zmieniło i zmienia. Asystentury reżyserskie nie istnieją, umarły nie wiadomo dlaczego. W teatrach środka, bo w awangardowych uczniowie i epigoni mnożą się jak grzyby po deszczu, przejmując od mistrzów głównie metodę pracy, czyli laboratorium, bez gwarancji premiery i ograniczeń czasowych oraz finansowych. No, ale awangarda jest kosztowna. Rzemieślników brakuje, asystenci poleceni przez mistrzów awangardowców w stacjonarnych, solidnych, zupełnie nieeksperymentalnych, „mieszkańskich” teatrach chcą robić rewolucje – po czym następuje najczęściej rozczarowanie zespołu artystycznego, złość, niechęć, a publiczność przyzwyczajona do czegoś innego w tym miejscu, nic z tego nie rozumiejąca, odchodzi na długó. Nieporozumienia, nieporozumienia, nieporozumienia. Młodzi artyści nie dbają o widzów. Dyrektorzy starego wzorca z kolei mają głównie samopoczucie publiczności na uwadze, ale ryzykują, bo reżyserów jak na lekarstwo i marzą o sukcesie u krytyki. Krytyka zaś chwali tylko to, co „światowe”,



skomplikowane i według nich na najwyższym poziomie, a co za tym idzie, zrozumiałe tylko dla nich i kilku ich kolegów. Reżyserzy debiutanci, czy młodzi, korzystają więc z okazji i robią spektakle tak, jakby po nich już miał nastąpić tylko potop i koniec świata, przekraczając wszelkie normy etyczne, a także normy przyzwoitości w pracy zespołowej. Z drugiej strony postępują według prawa artysty, młodości i debiutu, czyli z całkowitym brakiem patrzenia perspektywicznego i społecznego, nawet wtedy, kiedy sami pewnego dnia zostają dyrektorami. A zostają nimi coraz częściej. Ale co jest dobre, co złe? Kryteria są niejasne, bo to przecież sztuka.

No i tyle tytułem przydługiego i pewnie zupełnie niepotrzebnego wstępu.

Dziś przypominała mi się niespodziewanie, nieżyjąca już, pani Maria Chlebowska, odkąd pamiętam dyżurująca wieczorami w Teatrze Powszechnym. Kierowniczką sali, maître d'hôtel, opiekunką wieczoru od strony widowni, czyli jedno z najważniejszych stanowisk w zespole i teatrze Zygmunta Hübnera. Pani Maria, zawsze ubrana jak na koktajl u królowej angielskiej, tak w sam raz, nie na za duży wieczór, ale uroczyście. Uczesana w piękny czarny kok, z latami coraz czarniejszy, jakby świeżo od fryzjera, z karminowymi ustami, rozsiewająca zapach eleganckich perfum dookoła. Stała w wejściu dla publiczności, gotowa do pomocy i wyjaśnień, już na godzinę przed spektaklem. Witła każdego widza, uśmiechała się, odprowadzała niektórych stałych bywalców do szatni, rozmawiała, odpowiadała na wszelkie pytania – i te, jak długo trwa spektakl, ile będzie przerw i jakiej będą długości. (Spektakli bez przerw nie lubiła, prawie tak, jak pracownicy bufetu. Teraz młodzi reżyserzy nie robią przerw. Mówiąc, że zbudowali nadzwyczajną atmosferę i widzom będzie trudno w nią wejść raz jeszcze, uciekają od groźby opuszczenia teatru przez nich w przerwie. Posuwają się nawet do takich zabiegów, że publiczność uwięziona zostaje na cały spektakl, bez odwrotu, bo każdy, kto chciałby wyjść, musi przejść przez scenę. Zresztą są i tacy, którzy twierdzą, że ilość wyjść w trakcie przedstawienia jest miarą doskonałości dzieła, im więcej wyjść, tym dzieło większe). Za długa to była dygresja. Wracając do pani Marii, odpowiadała więc na pytania, czy można się napić kawy, alkoholu w przerwie i co bufet ma do zaoferowania. Czy będzie smutno podczas spektaklu, czy wesoło? A także na te niespodziewane, czyli na przykład: czy aktor K.K. już wyzdrowiał, czy matka aktorki N.A. zmarła i kiedy pogrzeb, czy małżeństwo aktorów A.T. i M.I. się dokonało?

Pani Maria polecała, ostrzegała, informowała o nowych, toczących się próbach i co warto zobaczyć, a co trzeba koniecznie, bo nie-

znajomość danego przedstawienia dla każdego kulturalnego człowieka jest niewybaczalna. Kto zrobił albo właśnie robi dobrą rolę. I czy jest chłodno na sali, w takim wypadku radziła zabrać szale. Nieustannie przypominała, aby nie zostawiać w kieszeniach ubrań oddawanych do szatni drogich przedmiotów, parasole dołączać do płaszczy itp., itd. ...

Pani Maria po latach pracy znała publiczność z widzenia, wielu widzów z imienia, wielu z imienia i nazwiska. Pamiętała, kiedy byli ostatnio i czy im się podobało, a w związku z tym przewidywała, czy tego wieczoru będą zadowoleni, może zaskoczeni (a, jak przypominała, tego doznania nie warto lekceważyć). Kiedy spektakl się zaczynał, przychodziła za kulisy zdać relację z wieczornych wejść i szykowała się jak lwica na przerwę. Po przedstawieniu wchodziła do nas raz jeszcze i opowiadała, co mówili ludzie, wychodząc, o kim, co się podobało, co mniej. Dyrektor Hübner, mimo że sam bywał w teatrze i na sali prawie każdego wieczoru, czekał na nią u siebie albo w bufecie aktorskim i chłonał te relacje, spragniony ich jak niczego w świecie. Pochwała od pani Marii dla aktorów i reżyserów to była pochwała bezpośrednio od widzów, niezwykle cenna i znamienna na przyszłość.

Pani Maria była nam bliska i wiedziała o nas aktorach wszystko. Miała naprawdę dobry gust, także literacki, rozeznanie i wiedzę, można było zawsze z nią porozmawiać i wysłuchać jej opinii. Ale też była naszym łącznikiem z publicznością, pomostem, naszą wizytówką i osobą dbającą o nastrój wieczoru. Zarządzając bileterami, szatniarzami, kasjerami, ucząc ich wiecznie stosunku i szacunku do gości. Osobą decydującą o klasie i poziomie naszego teatru, do momentu... rozpoczęcia spektaklu. Żegnającą wszystkich przy wyjściu i zapraszającą na kolejne przedstawienia. Dyrektor Hübner zawsze uważał, że to ten najważniejszy, poza jakością artystyczną prezentowaną na scenie, element w teatrze, pani Maria. Zresztą podczas wielu ważniejszych wieczorów, po premierach, przed trudnymi spektaklami, sam witał publiczność i chętnie odpowiadał na pytania, wspomagał panią Marię. Trzeba było widzieć ilość kwiatów, pudełek z czekoladkami, małych prezencików od widzów dla Niej, szczególnie kiedy zbliżały się Jej imieniny.

Po co to piszę? Dlaczego dziś, jako reakcja na wieści z warszawskich teatrów, przypominała mi się pani Maria? Sama nie wiem. ▣

Tekst pochodzi z dziennika internetowego Krystyny Jandy [www.krystynajanda.pl](http://www.krystynajanda.pl). Wpis z 15 lutego 2011 roku.